

Rozdział II **Pastor Hiob**

(...) Podczas gdy dzieci zajęte były odkrywaniem tajemnic, jakie kryła w sobie trzecia sala, wróciłem myślami do poprzedniego lata, kiedy jak co roku graliśmy z Sonją w turnieju ligi mieszanej softballu. Zwykle mieściliśmy się w pierwszej piątce, mimo że graliśmy w drużynie „starszaków” — zawodników po trzydziestce, konkurujących z młodzieżą uniwersytecką. Nagle uświadomiłem sobie, że nasza siedmiomiesięczna rodzinna mordęga rozpoczęła się podczas ostatniego meczu w zawodach zamykających sezon w 2002 roku. Grałem na pozycji miotacza, a Sonja zapolowego. Sonja właśnie obroniła pracę magisterską z bibliotekoznawstwa i wydawała mi się znacznie piękniejsza niż za czasów studenckich, kiedy po raz pierwszy obserwowałem ją przechodzącą przez główny dziedziniec w Bartlesville Wesleyan College.

Lato powoli miało się ku końcowi, lecz upały nie ustępowały, a każdy dzień niemalże prosił się o kilka kropel deszczu. Pojechaliśmy do wsi Wauneta, oddalonej trzydzieści kilometrów od naszego Imperial, gdzie odbywał się ostatni w sezonie turniej rozgrywany systemem podwójnych eliminacji. O północy, przy ostrym, niebiesko-białym świetle reflektorów, ciągle jeszcze walczyliśmy o jak najwyższą pozycję w naszej grupie.

Dokładnie nie pamiętam wyniku, ale jestem pewien, że w końcówce drużyny szły łeb w łeb i byliśmy o krok od przejęcia prowadzenia. Wybiłem piłkę do drugiej bazy i dałem radę do niej dobiec. Kolejny pałkarz wszedł na boisko i odbił piłkę, która wylądowała na trawie w polu wewnętrznym. To była moja szansa. Wyrwałem jak szalony do trzeciej bazy równo z graczem z pola zewnętrznego, który pobiegł po piłkę.

Zobaczyłem piłkę lecącą w moją stronę.

Nasz trener na trzeciej bazie gorączkowo wykrzykiwał: „Ślizgiem, ślizgiem!”.

Nabuzowany adrenaliną, rzuciłem się i poczułem i:zerwoną ziemię boiska pod lewym biodrem. Kątem oka zauważyłem, jak obrońca przeciwnej drużyny wyciąga rękę, żeby złapać piłkę i...

Trzask!

Dźwięk pękającej kości był tak głośny, że bez trudu wyobraziłem sobie prędkość, z jaką musiała lecieć piłka. Palący ból przeszył moją gołąb i kostkę. Przewróciłem się na plecy i podkulając kolana, zwinąłem się w kłębek. Czułem rytmiczne pulsowanie w nodze i pamiętam wszechobecny kurz, który po chwili zamienił się w las nóg, a następnie masę zmartwionych twarzy. Dwóch graczy z doświadczeniem medycznym ruszyło mi na pomoc.

Mam rozmazany obraz Sonji biegnącej w moją stronę i pochylającej się nade mną. Z łatwością mogłem wyczytać z jej twarzy, jak bardzo nienaturalnie wygięta była moja noga. Natychmiast odsunęła się, by przyjaciele medycy mogli wkroczyć do akcji. Przenieśli mnie do samochodu i po trzydziestu kilometrach dojechaliśmy do najbliższego szpitala. Rentgen

wykazał dwa paskudne złamania. Lekarska diagnoza brzmiała: spiralne złamanie kości, co oznaczało, że każdy koniec złamanego piszczela wyglądał jak drut kolczasty. Do tego kostka złamała się niemalże na pół to prawdopodobnie spowodowało tak głośny trzask. Później dowiedziałem się, że ten odgłos doszedł nawet kibiców siedzących na trybunach przy pierwszej bazie.

Gdy tak przyglądaliśmy się z Sonją Cassie i Coltonowi, którzy w podskokach przemierzali atrium w Pawilonie Motyli Tropikalnych, echo huku pękającej kończyny wróciło do mnie z zadziwiającą siłą na wspomnienie wydarzenia sprzed ponad pół roku. (...)

W tym momencie byłem szczęśliwy, że chociaż poruszam się bez trudności. Oprócz przeszywającego bólu złamania kości piszczelowej niemalże natychmiast odczułem finansowe skutki wypadku. Wspinanie się na drabiny, by montować bramy garażowe, z gipsem ważącym niemalże dwadzieścia kilo i unieruchomionym kolanem było po prostu niemożliwe. Dochody naszej rodziny zmniejszyły się o połowę, a środki na koncie zaczęły topnieć w zastraszającym tempie. Przy niskiej pensji pastora pieniądze oszczędzane latami wydaliśmy w przeciągu kilku tygodni.

Wypadek wpłynął nie tylko na nasze finanse. Ze względu na gips moja służba w Ochotniczej Straży Pożarnej oraz z praca trenera zapasów w lokalnym liceum również ucierpiały. Niedziele także okazały się wyzwaniem. Jestem jednym z tych pastorów, który spaceruje podczas kazania. Nie jestem łagodnym duchownym w długiej szacie, nie przemawiam w przesadnie podniosły czy agresywny sposób i nie aranżuję czytań liturgicznych. Podczas kazania po prostu opowiadam anegdoty i historie, a dobre opowieści wymagają dynamiki i ruchu. Po wypadku musiałem wygłaszać kazania na siedząco z zagipsowaną nogą opartą na sąsiednim krześle. Przymus siedzenia podczas niedzielnych nauk był dla mnie jak zakaz gestykulacji dla Włocha. jednak mimo tak wielu niedogodności związanych z kontuzją nie przypuszczałem nawet, że najgorsze było jeszcze przed nami.

Pewnego październikowego poranka, gdy już przyzwyczailem się do ciągłego kuśtykania o kulach, obudził mnie rwący ból w dolnej części pleców. Natychmiast domyśliłem się, że to objaw kamicy nerkowej.

Kiedy po raz pierwszy wykryto u mnie sześciomilimetrowy kamień w nerkach, musiałem od razu przejść operację. Tym razem badania wykazały, że kamień był wystarczająco mały, by nerki oczyściły się same, bez interwencji chirurgicznej. Po trzech dniach bolesnego wydalania moczu nie byłem pewien, czy drobny kamień to faktycznie mniejsze zło. Kiedy przytrzasnąłem sobie środkowy palec bagażnikiem tak mocno, że odciąłem sobie opuszkę, wydawało mi się, że nie może spotkać mnie nic gorszego. Myliłem się. W porównaniu z tym była to błahostka. Wydalanie drobinek kamienia było bardziej bolesne nawet od roztrzaskanej na cztery części kości.

Mimo wszystko dałem radę. W listopadzie, po trzech miesiącach poruszania się o kulach, pojechałem na kontrolę lekarską.

- Noga zrasta się poprawnie, ale musi pozostać w gipsie - poinformował mnie rzetelnie ortopeda. - Czy coś jeszcze panu dolega?

Właściwie było coś jeszcze. Czułem się nieswojo, pytając lekarza o zgrubienie, które niedawno pojawiło się na mojej klatce piersiowej, zaraz pod prawym sutkiem. Jestem praworęczny, więc gdy pisałem, często opierałem się na prawej kuli. Pomyślałem, że może to uchwyt kuli mocno pocierał o klatkę piersiową przez ostatnie tygodnie i spowodował podrażnienie pod skórą, coś w rodzaju odcisku.

Lekarz od razu wykluczył taką ewentualność.

- Zgrubienia nie pojawiają się od chodzenia o kulach - powiedział. - Muszę skonsultować się z chirurgiem.

Chirurg Timothy O'Holleran natychmiast wykonał biopsję cienkoigłową, a wyniki były kilka dni później. Zdiagnozowano zmianę guzową, czyli zapowiedź raka piersi. Raka piersi! Strzaskana noga, kamień w nerkach i do tego - poważnie?! - rak piersi?!

Gdy inni duszpasterze z mojego rejonu po jakimś czasie dowiedzieli się o moich problemach zdrowotnych, zaczęli nazywać mnie pastorem Hiobem, od przypowieści biblijnej, w której głównego bohatera, tak jak mnie, spotyka seria nieszczęść i przeciwności losu. 'niż po diagnozie chirurg zalecił to samo, co zaleca się każdej kobiecie w takiej sytuacji - amputację piersi.

Silna kobieta z Środkowego Zachodu, jaką jest Sonja, podeszła do sprawy bardzo pragmatycznie. Jeśli lekarz zasugerował zabieg, to trzeba było się do zaleceń dostosować. Uważała, że przecież jako rodzina przez wszystko przechodzimy razem.

Do tej pory też tak uważałem. Jednak po diagnozie zaczęło mi być siebie żal. Po pierwsze, miałem serdecznie dosyć chodzenia o kulach. Poza tym usuwanie piersi nie jest najbardziej męskim zabiegiem, jaki można sobie wyobrazić. Na dodatek od dawna starałem się przekonać Radę Kościoła, że potrzebuję funduszy, by zatrudnić pomocnika, lecz dopiero po moim nagłym nawrocie kamicy nerkowej Rada Parafialna oficjalnie zgodziła się na zatrudnienie dla mnie osoby do pomocy.

Mimo świadomości, że powinienem być wdzięczny za pozytywne rozpatrzenie sprawy, byłem rozżalony. „Nie dość, że trzeba być inwalidą, to jeszcze powinno się być na granicy diagnozy raka, żeby otrzymać jakąkolwiek pomoc!” - myślałem.

Pewnego dnia moje użalanie się nad sobą sięgnęło zenitu. Siedziałem na parterze na plebanii czy też raczej w dobrze wykończonej piwnicy, gdzie mieliśmy kuchnię, salkę katechetyczną oraz duży wspólny pokój. Właśnie skończyłem drobną papierkową robotę i zacząłem mozolnie wspinać się na górę po schodach. Już na samym dole, niemalże na pierwszym stopniu, ogarnęła mnie wściekłość na Boga.

- To jest niesprawiedliwe - utyskiwałem na głos, zmagając się z każdym stopniem i powoli przekładając kule. - Muszę cierpieć i znaleźć się w tak nędznym stanie, żeby w końcu dostać pomoc, której potrzebowałem od miesięcy.

Ostatecznie, całkiem zadowolony ze swojego męczeństwa dotarłem na samą górę, kiedy w sercu odezwał się cichy, nikły głos: „A co zrobił dla ciebie Mój Syn?”.

Uniżony i zawstydzony własnym egoizmem przypomniałem sobie, co Jezus powiedział apostołom: „Uczeń nie przewyższa nauczyciela ani sługa swego pana” (Mt 10,24). Oczywiście ostatnie miesiące nie należały do najłatwiejszych, jednak w porównaniu z cierpieniem innych ludzi na całym świecie moje nieszczęścia nagle wydały mi się błahe. Bóg obdarował mnie małą grupką wiernych, którą prowadziłem i której służyłem, a ja niewdzięcznie narzekam na Niego, ponieważ wierni mi nie służyli.

- Panie, wybacz - powiedziałem i ruszyłem naprzód ze zdwojoną siłą, jakby moje kule przemieniły się w skrzydła anioła.

Prawda była taka, że Kościół bardzo mi pomagał, a wierni organizowali modlitwy w intencji mojego zdrowia.

Pewnego grudniowego poranka zadzwonił do mnie chirurg Timothy O'Holleran z zaskakującą wiadomością: ukazało się, że narośl nie tylko była niezłośliwa, ale że była to po prostu normalna tkanka.

- Nie jestem w stanie wytłumaczyć, skąd wziął się błąd - powiedział. - Biopsja jednoznacznie sugerowała guza, więc spodziewaliśmy się otrzymać takie same wyniki z tkanki usuniętej podczas zabiegu. Jednak próbka okazała się zdrowa, nie było zmian nowotworowych. Nie wiem, co powiedzieć, i nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Mimo dezorientacji lekarza znałem wytłumaczenie. Bóg ukochał mnie tym małym cudem.

(...)

Rozdział VIII **Wściekłość na Boga**

Po pięciu minutach mężczyzna w białym kitlu wyszedł z pomieszczenia laboratoryjnego. Już nie pamiętam, jak się nazywał, ale na identyfikatorze napisane miał „radiolog”.

- Państwa syn ma pęknięty wyrostek robaczkowy - powiedział. - Konieczna jest natychmiastowa operacja. Lekarze są już przygotowani i czekają. Proszę za mną.

Zdumieni wyszliśmy za nim z pokoju. Szumiało mi w skroniach. Pęknięty wyrostek?! Czyżby lekarz z Imperial tego kategorycznie nie wykluczył?!

W pokoju zabiegowym Sonja położyła Coltona na szpitalne łóżko na kółkach, pocałowała go w czoło i zrobiła miejsce pielęgniarce niosącej kroplówkę. Na widok igły chłopiec zaczął krzyczeć i się miotać. Stałem za jego głową i trzymałem za ramiona, starając się uspokoić go moim głosem. Sonja rozplakała się i próbowała ciałem przytrzymać lewą nogę i rękę Coltona.

Kiedy rozejrzałem się po pokoju, zobaczyłem otaczających nas mężczyzn i kobiety w białych kitlach.

- Chirurg już jest - spokojnie poinformował jeden z nich. - Wyjdźcie na zewnątrz i porozmawiajcie z nim. My postaramy się opanować sytuację.

Niechętnie wycofaliśmy się za zasłonę. Towarzyszyły nam krzyki Coltona: „Proooszę, tato! Nie idź!”.

Doktor Timothy O'Holleran czekał na nas w korytarzu. To był ten sam człowiek, który przeprowadził u mnie zabieg usuwania sutka kilka miesięcy wcześniej. Teraz minę miał bardzo skupioną i zawziętą. Nie przebierał w słowach.

- Pękł wyrostek Coltona. Chłopiec nie jest w dobrym stanie. Spróbujemy zajrzeć do środka i go wyczyścić - powiedział.

Zza zasłony słychać było wrzask: „Tato, Taaaaa-tooooo!”.

Zaciskając zęby, starałem się skupić na słowach lekarza.

- Upewnialiśmy się w Imperial, czy to nie wyrostek - powiedziała z wyrzutem Sonja. - Wykluczyli taką ewentualność.

Moje myśli już wybiegały wprzód w poszukiwaniu choć odrobiny nadziei.

- Jak pan myśli, co z nim będzie? - zapytałem.

- Musimy go wyczyścić. Więcej o jego stanie będzie-my wiedzieć dopiero, jak go otworzymy.

Przerwy między jego słowami były szczelnie wypełnione przeraźliwymi krzykami Coltona, których echo odbijało się po szpitalnym korytarzu. W odpowiedzi na bezpośrednie pytanie lekarz nie zaryzykował żadnych konkretnych stwierdzeń, o niczym nie zapewnił. Jedyne, co powiedział, to że Colton był po prostu w złym stanie. Pomyślałem o dniu, w którym Sonja zadzwoniła z Imperial do mnie do Greeley i dała znać, że Colton nie ma już gorączki i że są w drodze. Nie była to zdiagnozowana grypa żołądkowa, a pierwsze oznaki pękniętego wyrostka robaczkowego. Oznaczało to, że trucizna rozchodziła się po ciele naszego małego syna już od pięciu dni. To tłumaczyło jego drastycznie pogarszający się stan. Wyjaśniało to również, dlaczego doktor O'Holleran nie chciał robić nam wielkich nadziei.

Lekarz skinął głową w stronę dźwięków dochodzących z pokoju zabiegowego.

- Chyba lepiej będzie, jak najpierw podamy mu środki uspokajające, a później podłączymy do kroplówki - powiedział i wszedł za zasłonę, wydając nowe polecenie. Po chwili dwie

pielęgniarki wypchnęły nosze na korytarz i zobaczyłem wijącego się z bólu Coltona. Obrócił się i przekręcił głowę w moją stronę, patrząc na mnie zapadniętymi oczami.

- Tato! Nie pozwól im mnie zabrać!

Pamiętacie, jak zarzekałem się, że pastor nie może. utracić panowania nad sobą? jednak na widok Coltona po prostu puściły mi nerwy. Po krótkiej rozmowie z lekarzem i podpisaniu setek dokumentów ubezpieczeniowych biegiem puściłem się wzdłuż korytarza, znalazłem mały pokój, wpadłem do środka i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Serce kołatało mi jak szalone, nie mogłem złapać oddechu. Fale desperacji, złości i frustracji przetaczały się we mnie na przemian, zapierając dech w piersiach.

Kiedy wszyscy panikują, szukają oparcia w ojcu - szczególnie jeśli ojciec jest pastorem. W końcu znalazłem się sam w pokoju, gdzie nikt mnie nie widział, i zacząłem wściekać się na Boga.

- Gdzie jesteś? Czy to w taki sposób traktujesz swoich wysłanników? Czy w ogóle warto ci służyć?! - wrzeszczałem i chodziłem w kółko po pokoju, który wydawał się coraz mniejszy, jakby ściany kurczyły się razem z malejącymi szansami Coltona. Ciągłe w oczach miałem obraz pchanego na szpitalnym łóżku syna, który wyciąga rączki w moją stronę i krzyczy, żebym go uratował.

Wtedy uzmysłowiłem sobie, że czekaliśmy za długo. „Mogę już nigdy nie zobaczyć swojego syna żywego” - pomyślałem.

Łzy wściekłości napłynęły mi do oczu i zaczęły strumieniami spływać po policzkach.

- Po historii z nogą, po kamicy nerkowej, po zabiegu usuwania sutka w ten sposób każesz mi uczyć koniec wystawiania mnie na próbę?! - wrzeszczałem na Boga. - Zamierzasz zabrać mojego syna?!

Rozdział IX **Żółwie minuty**

Po mniej więcej piętnastu minutach opanowałem strumień łez i wyszedłem z pokoju. Pierwszy raz od początku tej ciężkiej rodzinnej próby byłem naprawdę sam. Cały czas chciałem być wsparciem dla Sonji; wsparciem, jakim dobry mąż powinien być dla żony. Znalazłem ją w poczekalni, gdzie z prawie rozładowanego telefonu wydzwaniała do rodziny i przyjaciół. Przytuliłem ją i siedzieliśmy tak, dopóki moja koszula nie przemokła od jej łez i nie zaczęła się kleić do mojej klatki piersiowej. Ja również wyjąłem komórkę i wykorzystałem resztki baterii, żeby zadzwonić do Terri, mojej sekretarki, by skontaktowała się z Kościołem i poprosiła o modlitwę za naszego syna. To nie był zwykły, rutynowy telefon. Byłem zdesperowany, potrzebowałem ich wsparcia i liczyłem na to, że wierni załomoczą w bramy niebios, błagając Boga o życie naszego dziecka.

Każdy pastor powinien być niezachwianym filarem wiary, prawda? Jednak w tym momencie moja wiara wisiała na cienkim, postrzępionym włosku. Przypomniałem sobie fragment z Pisma Świętego, w którym Bóg odpowiada na modlitwy, ale nie bezpośrednio chorych i umierających, lecz ich przyjaciół. Przykładem jest paralytyk, którego przyjaciel modlił się do Boga o uzdrowienie. Jezus, widząc jego wiarę, podszedł i „rzekł do paralytyka: Wstań, weź swoje łoże i idź do domu!” (Mt 9,6). Właśnie w tamtej chwili potrzebowałem tej gorliwej modlitwy innych wiernych z naszej społeczności. Kiedy skończyłem rozmowę z Terri, usiedliśmy z Sonją i modliliśmy się razem. Baliśmy się mieć nadzieję, ale równocześnie baliśmy się ją utracić.

Czas włókł się niemiłosiernie, minuty mijały w żółtim tempie. Znamiennej ciszę w poczekalni raz na jakiś czas przerywały przyciszone rozmowy i krótkie wymiany zdań.

Półtorej godziny później pielęgniarka w fioletowym kitlu i z maską chirurgiczną zawieszoną na szyi weszła do poczekalni.

- Czy jest tu ojciec Coltona?

Fakt, że przyszła po nas pielęgniarka, a nie sam doktor O'Holleran, oraz ton jej głosu na nowo rozbudziły w nas wątplą nadzieję. „Może Bóg jest dla nas łaskawy mimo naszej głupoty - pomyślałem. - Może daje nam jeszcze dzień, może dostaliśmy kolejną szansę”.

Wstałem.

- Tak, jestem ojcem Coltona.

- Czy mogę poprosić pana o pomoc? Colton już jest po operacji, ale nadal nie możemy go uspokoić. Ciągłe krzyczy i woła swojego tatę.

Kiedy wywozili Coltona na szpitalnym łóżku, nie mogłem znieść jego okropnych wrzasków. Teraz chciałem je usłyszeć bardziej niż cokolwiek innego. Byłyby najpiękniejszym dźwiękiem na świecie.

(...)